


Pisze się!
Agnieszka Szyk



Twórcze
pisanie

część czwarta



Teksty napisane przez
uczestniczki warsztatów

Twórcze pisanie

Katarzyna Krystoszyk

Anna Szafarz

Paula

Pasłęk, 6-10 września 2023r.

Wstęp

Kolejny zbiór tekstów, podobnie jak poprzedni, jest efektem pracy trzech uczestniczek kilkudniowych letnich warsztatów. Spotkania odbywały się od 6 do 10 września w Pasłęku. Antologia tym razem jest wyjątkowo krótka, ale niezwykle treściwa.

Autorki poproszone przeze mnie, żeby wybrać tylko jedną stronę tekstów, zostały postawione zapewne przed trudną decyzją – co pokazać, żeby uchwycić to, co najistotniejsze? Każdy tekst jest początkiem dalszej drogi, która zapowiada się niezwykle intrygująco. Słyszę tu głosy bardzo dojrzałych autorek, które mówią o sprawach ważnych, ale trudnych. Mam nadzieję, że to co usłyszeliście w Pasłęku będzie dla Was ważnym odkryciem. Życzę Wam owocnej podróży.

Do zobaczenia na warsztatach!

Pisze się! Agnieszka Szyk

Katarzyna Krystoszyk

Haps kapelusika, tu nie ma co grymasić, nie wdawać się w trudne smaki. Nieładnie na psychodeliki kręcić nosem, one lubią, żeby je jeść. Byleby tylko na fazie nie wpaść do dziury w grobie. Niech cię ręka boska i partyjna broni wpaść do dziury w grobie, obywatelko Stworzonko, nawet do niej nie podchodź. Oj tam, oj tam z tym niepodchodzeniem do dziury w grobie. Oj tam, oj tam, tak troszkę to można. Straszna szkoda, że ci francuscy barbarzyńcy nie palą zniczy na grobach swoich francuskich barbarzyńskich zmarłych. Tylko stawiają porcelanowe badziewie, a podpaliło by się coś. Jak się coś pali, to zaraz jest wesoło. Jak u harcerzy, ognicho. Wesoła dziura w grobie. Wrzuciłabym tam zapalonego znicza, jak już przyrzekłam sobie, Stworzonku, że sama nie wpadnę. Pachamama dała mi łakocia. Teraz odrobinki kurzu w powietrzu wypuszczają w moją stronę dziesiątki i miliony tęczowych frisbee. Oczywiście zaraz zlatuje się UFO, bo nie lubi, jak łązę po cmentarzu. UFO się wkurwia, kiedy tak tu przesiaduję. Normalne, dom jest od siedzenia, nie cmentarz. I już zwisają smętnie nad kościolową wieżą, potrzebni mi tu teraz jak dziura w głowie. Puszczają laserowe zajączki, białe jak eksplozja supernowej i amarantowe. Trzymają się jednak w pewnej odległości. Ale UFO nie kiep, umie rozeznąć, że teraz to ja mam supermoce. Lepiej będzie mnie nie ruszać. Biorę z alejki garść żwiru, ciskam w spodek. I już ich nie ma, blakną, rozpuszczają się we fiołkowej smudze horyzontu, pa pa kocie syny. Teraz moja głowa to litrowa butelka koli, do której ktoś dla beki wrzucił mentosa. Bardzo koniecznie muszę coś podpalić. Tak się składa, że mam czym. Za gipsową Maryjka skitrałam przetrwalnikowe gadżety. Torebkadilerka z zapalniczuszką. Liberte. Egalite. Fraternite. Świerkowy wieniec dobrze wysuszony. Kokarda biała, czerwona i granatowa wypuszcza czarny dymek i wiercący smrodek. Zwija się i kurczy, roni plastikowe łezki. A dalej to już elegancko, świerk się zajmuje, pali się jak ta lala. Cześć i chwała bohaterom, a konkretnie to mi, Stworzonku. Wyobrażam sobie, że to jest słomiana kukła latającego UFO talerza. Bo sam to raczej by się nie palił, taki aluminiowy jak sreberko od czekolady. I tak samo te jednorazowe tacki na grilla, one też się przecież nie palą. Wkopuje moje cacy ogniseczko do dziury w grobie. Gaśnie, nic się nie dzieje, nie tak miało być. I po fazie, choć nie było porzygane, myję ząbki moją specjalną, cmentarną szczoteczką. Odkładam ją z powrotem razem z pastą i kubeczkiem za gipsową Maryjkę. Ona strzeże mojego małego światka

cmentarnego, mojego tutaj zachowanka. Idę już stąd sobie. Ciekawe, czy jutro w pracy będzie bolał łeb?

Anna Szafarz

Mój Ukochany Synu,

kiedy miałam 16 lat, dziewczęta wokół mnie snuły marzenia o zamążpójściu za księcia z bajki, a ja marzyłam o tym, by mieć dzieci: syna i dwa lata młodszą córkę. Tak jak marzyłam, stało się w moim życiu. Urodziłeś się 26 stycznia, w moje urodziny, gdy miałam 26 lat - magiczne, niesamowite.

Kochałam kwiaty, wiatr, kolory nieba w świetle zachodzącego słońca, ale dopiero, gdy Ty się zjawiłeś na tym świecie, doświadczyłam mocy prawdziwej miłości, jej siły, bezinteresowności, czystości. Dopiero Ty mnie jej nauczyłeś, pokazałeś, że istnieje, że może być tak silna i tak obezwładniająca, że bałam się, czy zdołam pokochać tak samo mocno kolejną istotę, którą nosiłam pod moim sercem. Pojawienie się na świecie Twojej siostry sprawiło, że odkryłam bezkres i ogrom mego serca, jego mocy czułości. To dzięki Wam nauczyłam się siły i mocy, jaką ma miłość.

Paula

Wigilia. Czas usiąść do jednego stołu i wspólnie znęcać się nad sobą oraz wzajemnie karać gastronomicznie "darami" przyniesionymi z zacisz domostw naszych. Toż to tradycja. Nie ma, że boli. Chrystus się narodził, to teraz żryj dary pańskie. I co najlepsze, a może i najgorsze w tym wszystkim, nie będzie owoców pracy rąk rzeźnika i masarza. Post to post, więc cierpieć będziemy do kupy wszyscy razem. I tak do pasterki, chociaż trochę meteorolodzy się nie spisali i zapowiadana pierzynka białego puchu przeistoczyła się cudownie w chlapę, jak co roku zresztą. Co roku z uśmiechami przyklejonymi do facjat, zaraz po dzieleniu się chlebem zwanym opłatkiem (choć w zasadzie słowo to idealnie pasuje na tę okazję jako forma opłaty właśnie) za wytykanie światu i każdy każdej żmii rodzinnej naszych niepowodzeń z całego poprzedniego roku, aby w tym stały się i innych udziałem. Po tradycji, której stanie się zadość, na pociechę i ku radości udręczonych postem ciał, czyli żołądków, wreszcie

wyżerka. Jeść jak wiadomo nawet Jezus musiał, chociaż po chwili sam stał się barankiem przeznaczonym na całopalenie zawiści ludzkiej. Niby suszony grzyb do barszczu dodajemy Go - Dzieciątko Jezus do tych zimowych świąt, aby jakoś tam się to kupy trzymało razem z reklamą coca-coli i wesołego dziadka w czerwonej czapce udającego ojca d - czyli dobrodzieja. Niech już będzie, skoro musiał się nam narodzić i rozweselić obcą choinką potomków naszych oprawców, znaczy naszych dziadów oprawców. Wesołych świąt wszystkim. Znow czas obejrzeć Kevina lub samemu spędzić w świętym spokoju te święta oglądając lub pisząc "Listy do M."

Nigdy nie miałam dobrej ręki do roślin. Każda postać flory trafiająca pod skrzydła mojego domu kończyła ostatecznie jako suchy kłujący patyk lub ewentualnie resztki gnijącej śmierdzącej zielonej samorozpadającej się miazgi. Ale cóż, moja ręka działa autonomicznie najwyraźniej, więc znow uparła się zrobić mi na złość i dać ostatnią szansę życiu zieloności choćby na papierze. Na szczęście jej nie trzeba tulić, podlewać, nawozić, doglądać, głaskać, prosić o wybaczenie długiej nieobecności i udobruchać po suchych wozach doprowadzających do spękania serca. Żyje sama, lecz bynajmniej nie samotnie. Że się tak wyrażę niezbyt dyplomatycznie - w kupie. Niekoniecznie śmierdzącej, choć mocno żółtej i, na szczęście, rzucającej się w oczy z daleka. Nie wdepniesz, nie przeoczysz, a czy przyjemnie zakręci Cię w nosie, czy doprowadzi do szaleństwa siennego siąpiącego kinola, to już tylko niebiosa wiedzą, co Ci przeznaczyły po wielkim wybuchu sierpniowego kwitnienia. Doświadcz bez lęku czy obaw zioła sięgającego po pachy, z daleka słonecznie wołającego Cię swym bujnym odcieniem żółci. Nie skrywa jej we wnętrzu woreczka dostępnego jedynie chirurgom, lecz wystawia na widok publiczny, choć zwykle za miastem na łąkach zielonych lub piaszczysto-beżowych kończącego się lata. I albo Cię urzeknie swym wybujałym rozłożystym żółtym parasolem rozerwanym na strzępki tak, by starczyło dla każdego włóczykija, albo wstrząsany nieludzkim kichaniem wrócisz do domu z podkulonym ogonem, by sprawdzić w botanicznym atlasie, cóż za piekielne to zioło. **To Nawłóć.**